



**JACK REACHER**

**LEE  
CHILD**

**ANDREW CHILD**

**STRAŻNIK**

Jack Reacher wkracza w XXI wiek!

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE SENTINEL

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2020  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: Nagel Photography/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# JACK REACHER

**Imię i nazwisko:** Jack Reacher

**Narodowość:** amerykańska

**Urodzony:** 29 października 1960 roku w Berlinie

**Charakterystyczne dane:** 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

**Kolor włosów:** ciemny blond

**Kolor oczu:** niebieski

**Ubranie:** kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

**Wykształcenie:** szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

**Przebieg służby:** 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

**Odnaczenia służbowe:** Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

**Ostatni adres:** nieznan

**Czego nie ma:** prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

# 1

W poniedziałek rano, dokładnie tydzień po tym, jak wyrzucono go z pracy, Rusty Rutherford wyszedł z mieszkania.

Pierwszych kilka dni bezrobocia spędził za zaciągniętymi zasłonami, zużywając zapas mrożonej pizzy i czekając na telefon. *Porażająca niezaradność*, napisali w zwolnieniu. *Brak zdolności kierowniczych... Podstawowe, kardynalne wprost błędy...* Coś niewiarygodnego! Całkowite wypaczenie faktów! W dodatku jakie niesprawiedliwe. Próbowali zwalić na niego ostatnie problemy miasta. Popelniali... błąd. To jasne jak słońce. A skoro tak, na pewno go naprawią. I to już wkrótce.

Godziny wlekły się w nieskończoność. Telefon milczał. A w skrzynce mailowej zalegała coraz grubsza warstwa spamu.

Wytrzymał jeszcze jeden dzień, a potem odpalił swój stary laptop. Nie miał pistoletu ani noża. Nie umiał spuszczać się po linie ze śmigłowca ani skakać ze spadochronem z samolotu. Ale ktoś musi zapłacić za to, co

mu zrobili. Być może jego prawdziwym wrogom uda się z tego wywinąć. Tym razem. Prawdziwym wrogiem, ale na pewno nie draniom z gier wideo, które przysłał mu znajomy deweloper. Przedtem od nich stronił. Jak dla niego, za dużo było w nich przemocy. Zupełnie niepotrzebnej. Ale teraz zupełnie mu nie przeszkadzała. Dość okazywania łaski bandzirom. Chyba że...

Telefon wciąż milczał.

Dwadzieścia cztery godziny później zmieniło się jedynie to, że był lekko odwodniony i miał na koncie rekordową liczbę punktów. Zamknął laptop i zwałił się na kanapę. Przeleżał na niej prawie cały następny dzień, oglądając wybrane na chybił trafił filmy ze sterty płyt, które kupił Bóg wie kiedy, i błagając wszechświat, żeby przyjęto go z powrotem do pracy. Przysięgał, że się zmieni. Że będzie łatwiejszy we współżyciu. Cierpliwszy. Dyplomatyczny. A nawet empatyczny. Że będzie kupował pączki wszystkim pracownikom biura. Dwa razy w miesiącu. A nawet trzy, jeśli tylko załatwi to sprawę.

Telefon milczał.

Rusty rzadko kiedy pił, ale cóż mu pozostało? Na ekranie zaczęły się przesuwac końcowe napisy entego filmu. Jeszcze jednego już by nie zniósł, więc poszedł do kuchni. Z głębi szafki wyjął nienapoczętą butelkę Jim Beama. Wrócił do salonu, włączył adapter i nastawił trzeszczącą starą płytę Elmore'a Jamesa.

Skończyło się na tym, że padł na twarz i zasnął na podłodze po... Nie miał pojęcia, po ilu szklankach. Wiedział tylko, że kiedy się obudził, w głowie miał pełno kamieni, które grzechotały i zgrzytały, jakby chciały rozsadzić

czaszkę. Myślał, że ból nigdy nie minie, lecz gdy wreszcie minął, Rusty doświadczył nowego uczucia. Buntu. Przecież był niewinny. To nie przez niego stało się to, co się stało. Absolutnie. Co więcej, on to przewidział. Ostrzegał przed tym szefa. Wiele razy. Publicznie i prywatnie. I całkowicie go ignorowano. Raz za razem. Dlatego po siedmiu dniach pobytu w samotni uznał, że nadszedł czas pokazać światu twarz. Opowiedzieć, jak było naprawdę. Każdemu, kto zechce go wysłuchać.

Wziął prysznic i wygrzebał z szafy ubranie. Chinositykoszulkę polo. Nowiutkie. W ciemnych kolorach, z firmowymi naszywkami, aby pokazać, że nie da sobie w kaszę dmuchać. Potem włożył buty, z których każdy leżał w przeciwnym kącie przedpokoju, gdzie przed tygodniem je rzucił. Z półki przy drzwiach zgarnął klucze i ciemne okulary. Wyszedł na korytarz. Jako jedyna osoba w kabinie zjechał windą na dół. Przeciął hol. Pchnął ciężkie obrotowe drzwi i przystanął na chodniku. Słońce paliło niczym piec hutniczy, więc natychmiast spociał się pod pachami i na czole. Ogarnęła go panika. Pocą się tylko winni. Gdzieś o tym czytał, a jedyną rzeczą, jakiej rozpaczliwie pragnął teraz uniknąć, było to, żeby wyglądać jak winowajca. Rozejrzał się przekonany, że wszyscy na niego patrzą, i zmusił się do pierwszego kroku. Zrobił pierwszy, drugi i przyspieszył, pewny, że gdyby był zupełnie nagi, rzucaliby się w oczy znacznie mniej. Lecz w rzeczywistości przechodnie, których mijał, w ogóle go nie zauważali. Jego obecność odnotowały jedynie dwie osoby.

• • •

Dokładnie wtedy, kiedy Rusty Rutherford wychodził z domu, Jack Reacher włamywał się do baru. Był w Nashville w Tennessee, sto dwadzieścia kilometrów na północny wschód od sennego miasta Rusty'ego, i właśnie szukał rozwiązania pewnego problemu. Problemu zasadniczo praktycznego. Fizyczno-biologicznego. A konkretnie zastanawiał się, jak powiesić faceta pod sufitem, nie wyrządzając przy tym większych szkód trwałych. Chodziło mu głównie o sufit. Facetem przejmował się mniej.

Sufit należał do baru. A bar do wspomnianego wyżej faceta. Po raz pierwszy Reacher trafił tam dzień wcześniej. W sobotę. Właściwie to prawie w niedzielę, bo o północy. Podróż minęła z przebojami. Najpierw zapalił się autobus, a po trzydziestu kilometrach autobus zastępczy utknął pod niskim mostem, bo kierowca źle skręcił. Reacher zeszytniał od długiego siedzenia, więc kiedy dojechali wreszcie do końca trasy, wysiadł i żeby rozprostować kości, odszedł na bok, w stronę miejsca dla palaczy. Stał częściowo ukryty w cieniu, podczas gdy pozostali pasażerowie tłoczyli się, rozmawiali, robili coś z telefonami, odbierali bagaże i stopniowo się rozchodzili.

Reacher został. Nie spieszyło mu się. Przyjechał później, niż zakładał, ale nie stanowiło to problemu. Nie był z nikim umówiony. Nie miał w planie żadnych spotkań. Nikt na niego nie czekał, nikt się o niego nie martwił ani na niego nie wściekał. Zamierzał tylko znaleźć nocleg. Jakąś jadłodajnię, bo zgłodniał. I bar, gdzie mógłby posłuchać dobrej muzyki. Nie powinien mieć z tym kłopotów. W razie czego najwyżej zmieni kolejność. Albo coś z czymś połączy. Ale na pewno da sobie radę. Poza tym w hotelach,

w których lubił się zatrzymywać, spóźnieni goście byli mile widziani. Zwłaszcza jeśli płacili gotówką. Tak jak on.

Postanowił zacząć od muzyki. Wiedział, że knajp z muzyką jest w Nashville pełno, chciał jednak czegoś wyjątkowego. Nadgryzionego zębem czasu. Czegoś o długiej historii. Lokalu, w którym mógł kiedyś grać Blind Blake. A nawet Howlin' Wolf. Na pewno nie czegoś nowego, zgentryfikowanego czy sztucznie odpicowanego. Pytanie tylko, jak taki lokal znaleźć. Na dworcu autobusowym wciąż paliły się światła – ktoś tam jeszcze pracował, czekał albo po prostu się schronił. Musieli być wśród nich miejscowi. Może byli tam nawet sami miejscowi. Ale nie wszedł do środka. Wolał kierować się instynktem. Znał miasta. Wyczuwał ich kształt i rytm, tak jak żeglarz wyczuwa kierunek nadciągających fal. Intuicja kazała mu iść na północ, więc przeciął szerokie skrzyżowanie w kształcie litery Y i wszedł na usianą gruzem działkę. Ciężki zapach spalonej ropy i papierosowego dymu został w tyle. Sunący przed nim cień wydłużył się i doprowadził go do rzędów wąskich równoległych uliczek zabudowanych podobnymi do siebie ceglanymi budynkami okopconymi sadzą. Do czegoś w rodzaju dzielnicy przemysłowej, zapuszczonej i opuszczonej. Reacher nie wiedział, jaki przemysł kwitł kiedyś w Nashville, lecz bez względu na to, co w tym mieście kiedyś wytwarzano, magazynowano czy sprzedawano, na pewno działa się to tutaj. I najwyraźniej dziać się przestało. Pozostały jedynie budynki. Pomyślał, że i te nie postoją zbyt długo. Albo ktoś w nie zainwestuje, albo się zawalą.

Zszedł z popękanego chodnika na środek ulicy.



Postanowił przejść jeszcze dwie przecznice. Najwyżej trzy. I jeśli nic tam nie znajdzie, odbić w prawo, w kierunku rzeki. Minął sklep z używanymi oponami. Magazyn, w którym jakaś fundacja charytatywna przechowywała darowane meble. I wtedy, przechodząc przez ulicę, usłyszał głęboki pomruk gitary basowej i dudnienie bębna.

Dźwięki dochodziły z budynku stojącego w połowie przecznicy. Nie wyglądał zbyt obiecująco. Nie miał okien. Ani szyldu. Widać było jedynie smugę żółtego światła sączącego się spod drewnianych drzwi. Reacher nie lubił miejsc z niewieloma potencjalnymi wyjściami, dlatego chciał iść dalej, ale gdy zrównał się z drzwiami, te otworzyły się i na chodnik wyszło chwiejnie dwóch mężczyzn pod trzydziestkę, w podkoszulkach, spod których wyglądały wyblakłe tatuaże. Zrobił krok w bok, żeby się z nimi nie zderzyć, a wtedy z wnętrza dobiegło zawodzenie gitary. Przystanął. Riff był dobry. Rósł, nabrzmiewał i potężniał, a gdy przebrzmiała ostatnia nuta i wydawało się, że dobiegł końca, włączył się kobiecy głos. Zbolały, posępny i pełen rozpacz, niczym przejście do świata niewyobrażalnie głębokiego smutku. Reacher nie mógł się oprzeć. Przekroczył próg.

W środku pachniało piwem i potem, a sala była dużo krótsza, niż się spodziewał. I dużo szersza, przez co wyglądała tak, jakby składała się z dwóch oddzielnych części z martwą strefą pośrodku. Część prawa należała do wielbicieli muzyki. Tego wieczoru bawiło się tam ponad dwadzieścia osób, stojących, tańczących i podrygujących w miejscu. Usytuowana za nimi scena – niska, zbudowana ze skrzynek na piwo pokrytych drewnianym panelem

– ciągnęła się w głąb, aż do ściany. Po jednej i drugiej stronie stało kilka skromnych kolumn głośnikowych, a z sufitu zwisały dwa metalowe zaczepy na reflektory. Frontmenka stała z przodu, przy brzegu sceny. Reacherowi wydawała się malutka. Chuda jak patyk, miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu. Jej równo podcięte blond włosy błyszczały tak bardzo, że wyglądały jak peruka. Gitarzysta stał po lewej stronie, najbliżej drzwi. Basista – po prawej. Z potarganymi kręconymi włosami i mocno wystającymi kośćmi policzkowymi, byli tak bardzo do siebie podobni, że mogliby uchodzić za bliźniaków. A już na pewno za braci. Była tam i wybijająca rytm perkusistka, lecz siedziała w zbyt głębokim cieniu, żeby Reacher dobrze ją widział.

Lewą część sali przeznaczono dla pijących. Stało tam sześć okrągłych stolików, każdy z czterema krzesłami, a pod ścianą naprzeciwko sceny ulokowano bar z czterema wysokimi stołkami. Ladę wyekwipowano w to co zwykle: w krany do piwa, podręczne chłodziarki i dozowniki do alkoholu. Za ladą wisiało długie na całą ścianę lustro z pęknięciem w kształcie gwiazdy na środku. Pewnie ktoś rzucił butelką, pomyślał Reacher. Podobał mu się ten mały akcent. Przydawał charakteru. Ale nie na tyle, żeby zatuszować największy feler lokalu. Część sufitu tuż przed ladą. Zwisały stamtąd dziesiątki staników. Może nawet setki. Wszelkiego rodzaju, wszelkich rozmiarów, kształtów i kolorów. Wolał nie wiedzieć, skąd się tam wzięły. Były obleśne. Niepotrzebne. I wkurzające z praktycznego punktu widzenia. Aby dostać się do lady, każdy w miarę wysoki człowiek musiał je rozgarnąć albo się przez nie przedrzeć. Zaczekał, aż zespół skończy ostatni numer, pochylił się

nisko, odwrócił i wymacał stołek. Oprócz niego w tej części lokalu nie było nikogo, a z obojętnej twarzy barmana nie mógł wyczytać, czy cieszy go to, czy nie.

– Kawę – rzucił, gdy tamten go w końcu zauważył. – Czarną.

– Nie mamy kawy.

– Dobrze, w takim razie cheeseburgera poproszę. Bez sałaty i bez pikli. I colę.

– Nie mamy cheeseburgerów.

– Więc co macie?

– Nic, nie prowadzimy jedzenia.

– A ktoś w pobliżu prowadzi?

Barman wzruszył ramionami.

– Ja tu nie mieszkam.

Reacher wziął colę i spojrzał na scenę. Myślał, że rozstawi się tam inna kapela, lecz nic na to nie wskazywało. Połowa publiczności przeszła na stronę ze stolikami. Reszta zmierzała już do wyjścia. Skoro nie ma muzyki i jedzenia, doszedł do wniosku, że wypije colę i też wyjdzie. Wypił, wyszedł i ruszył w tym samym kierunku, w którym zmierzał przed wejściem do baru, ale minawszy róg budynku, usłyszał odgłos szurania. Odwrócił się i omal nie wpadł na niego gitarzysta z zespołu, którego przed chwilą słuchał. Chłopak cofnął się z oczami rozszerzonymi strachem i z futerałem gitary uniesionym jak tarcza. Niewiele brakowało, a wpadłaby na niego idąca z tyłu piosenkarka. Reacher podniósł ręce otwartymi dłońmi w ich stronę. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i rozczochrane włosy. Ważył sto czternaście kilogramów. Był nieogolony. Bywało, że przerażone dzieci uciekały z krzykiem na jego

widok.

– Przepraszam – rzucił z uspokajającym uśmiechem. – Nie chciałem was wystraszyć.

Gitarzysta opuścił futerał, lecz nie podszedł bliżej.

– Tak przy okazji, daliście świetny występ. Kiedy znowu gracie?

– Dzięki. – Gitarzysta wciąż zachowywał bezpieczny dystans. – Wkrótce. Mam nadzieję.

– Tutaj?

– A skąd, odpada.

– Dlaczego? Zła publiczność?

– Nie. Zły właściciel.

– Chwileczkę. – Frontmenka przeszła Reachera wzrokiem. – Co pan tu robi? Pracuje pan dla niego?

– Ja nie pracuję dla nikogo. Ale dlaczego właściciel jest zły? O co chodzi?

Dziewczyna zawahała się i podniosła palec, jeden, potem drugi.

– Nie chciał nam zapłacić. Obrobił nas, ukradł nam gitarę.

– Moją – dodał gitarzysta. – Dobrą, zapasową.

– Poważnie? – Reacher zrobił krok do tyłu. – To chyba kiepski sposób prowadzenia interesów. Musiał mieć jakiś powód.

– Niby jaki? – Frontmenka spojrzała na gitarzystę.

– Nijaki – mruknął tamten. – Skończyliśmy, zwinęliśmy majdan i poprosiliśmy o kasę. A on odmówił.

– Nie rozumiem. – Reacher podrapał się w głowę. – Do miejsc takich jak to ludzi przyciąga muzyka. A nie wystrój wnętrza. To na pewno. Żeby mieć muzykę, trzeba zatrudnić

kapelę. A jeśli nie płaci się kapeli, jak zmusić ją do grania? Taka strategia to czyste samobójstwo. Musieliście go czymś wkurzyć.

– Nie rozumie pan, jak działa nasza branża. – Gitarzysta pokręcił głową.

– Więc mnie oświećcie.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo was o to proszę. Lubię uczyć się nowych rzeczy. Nauka to potęgi klucz.

Chłopak położył futerał na chodniku.

– Co tu oświecać? Tak jest wszędzie. Nic nie da się zrobić.

– Kapela nie ma władzy. – Dziewczyna położyła mu rękę na ramieniu. – A knajpa tak.

– I nikt nie może wam pomóc? Jakiś menedżer? Czy agent? Przecież muzycy mają menedżerów i agentów.

Gitarzysta pokręcił głową.

– Może ci, którym się powiodło. My nie.

– Jeszcze nie – sprecyzowała frontmenka.

– A policja?

– Nie, nie. – Dziewczyna przesunęła ręką po kieszeni kurtki. – Tylko nie policja.

– Nie chcemy ich w to mieszać – wyjaśnił gitarzysta. – Pójdzie fama, że jesteśmy trudni, i nikt nas nie zaangażuje.

– Jaki sens załatwiać sobie angaż, skoro wam nie płacą?

– Musimy grać. Ludzie muszą nas słyszeć. – Frontmenka postukała się w ucho. – Jeśli nie będą, nikt nas nie odkryje.

– Racja – przyznał Reacher. – Chociaż jeśli mam być szczery – dodał po chwili – myślę, że powinniście się zastanowić, jaki przekaz wysyłacie kolegom z branży.

– Niby jaki? – Chłopak oparł się ramieniem o ścianę. – Trzeba zacisnąć zęby. I tyle.

– Dzięki temu się wybijemy – powiedziała dziewczyna.  
– Kiedyś.

Reacher milczał.

– Co? Myśli pan, że źle robimy?

– Może to niestosowne, ale... – Reacher spojrzał na nią, potem na gitarzystę – ale wydaje mi się, że wasze postępowanie mówi właścicielom klubów jedno: można was okantować. Gracie za friko i jeszcze się z tego cieszyacie.

– Obłąd – mruknął chłopak. – Nienawidzę grać za friko. Nie ma nic gorszego.

– Powiedzieliście mu to jasno i wyraźnie?

– Oczywiście. – Chłopak oderwał się od ściany. – Ja mu powiedziałem. Poprosiłem, żeby zapłacił. I wyglądało na to, że zapłaci, bo zabrał mnie do biura. Tylko że ktoś tam już czekał. Ten wykidajło. Wielki jak góra. Musieli to sobie zaplanować, bo jak wszedłem, od razu chwycił mnie za rękę. Za lewą. – Podniósł ją, żeby to podkreślić. – Chwycił i przycisnął ją do biurka, do takiej metalowej podkładki na blacie, brudnej i pełnej wgnieceń. On mnie trzymał, a właściciel knajpy stanął po drugiej stronie i otworzył szufladę. Wyjął młotek, taki z dwoma pazurami. Rozszerzył mi nimi palce i powiedział, że mam wybór. Może nam zapłacić, ale wtedy połamię mi palce. Jeden po drugim. Albo wypuści mnie bez kasy.

Reacher słyszał w głowie głos, który mówił: Daj sobie spokój. Odejdź, to nie twój problem. Sęk w tym, że słyszał również, jak ten chłopak gra, wiedział, co potrafi wycisnąć z gitary. Pamiętał ruchy jego palców, jakże innych od jego.

Szybkich, delikatnych, tańczących po strunach. Wyobraził sobie, jak wykidajło chwyta go za rękę. Jak właściciel knajpy wywija młotkiem. I został.

– Jeśli chcecie, mogę tam zajrzeć. Pomóc temu panu spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Może zmieni zdanie i zapłaci.

– Dałby pan radę? – Frontmenka spojrzała na niego niepewnie.

– Niektórzy twierdzą, że potrafię być bardzo przekonujący.

– Może pan oberwać.

– Ktoś pewnie tak. Ale nie ja.

– On ma młotek. – Gitarzysta przestąpił z nogi na nogę.

– Wątpię, żeby poszedł w ruch. Zresztą nawet gdyby, młotek to tylko młotek. No więc jak? Może jednak spróbuję? Co macie do stracenia?

– Nie wiem, czy... – Chłopak nie zdążył dokończyć, bo przerwała mu dziewczyna.

– Bardzo dziękujemy. Przyda nam się każda pomoc. Tylko niech pan będzie ostrożny.

– Zawsze o tym pamiętam – zapewnił ją Reacher. – A teraz opowiedzcie mi o tej gitarze, tej dobrej, zapasowej. Naprawdę wam ją ukradł?

– Tak jakby – odparł gitarzysta. – Ale nie on, tylko ten grubas, wykidajło. Kiedy wyszedłem z biura, poszedł za mną, wyrwał mi ją i rzucił na schody prowadzące do piwnicy. A potem spojrzał na mnie, jakby pytał: „No i co mi zrobisz?”.

– I gitara tam została?

Chłopak uciekł wzrokiem w bok.

– Nie rób sobie wyrzutów. To był dobry ruch. – Reacher podrapał się w szyję. – Ile jest warta?

– Nie wiem, z tysiąc baksów. – Gitarzysta wzruszył ramionami. – Dla mnie to kupa forsy.

– Właściciel... ten z młotkiem. Jak się nazywa?

– Lockhart. Derek Lockhart.

– Ile miał wam zapłacić?

– Dwieście dolarów.

– Dobra. Oprócz Lockharta, wykidajły i barmana, kto jeszcze tam pracuje?

– Nikt.

– Nie, jest jeszcze ten chłopak, co sprząta – wtrąciła frontmenka. – Ale większość czasu siedzi na zapleczu i pali trawkę.

– Ktoś jeszcze?

– Nie.

– Widzieliście tam jakąś broń?

Gitarzysta i frontmenka wymienili spojrzenia i pokręcili głowami.

– Okej. Gdzie jest to biuro?

– Na pierwszym piętrze. Schodami za kiblem.

• • •

W sali samotny klient dopijał ostatnią butelkę piwa. Barman przecierał wyłysiałą szcztoką podłogę między stolikami i sceną. Nikogo innego nie było, Reacher minął więc toalety i wszedł po cichu na górę. Na wąskim podejście zobaczył drzwi. Zamknięte. Dochodził zza nich czyjś głos. Na pewno mężczyzny, choć trudno było zrozumieć poszczególne słowa. Mówił cicho. Rytmicznie. Jakby coś



liczył. Tygodniowy utarg? Jeśli tak, drzwi musiały być zamknięte na klucz. Reacher położył rękę na gałce klamki. Przekręcił ją. I jednocześnie grzmotnął ramieniem w drzwi. Ustały łatwo, w fontannie kawałków rozłupanego drewna.

– Przepraszam, panowie. – Wszedł do środka i dopchnął drzwi do zniszczonej futryny. – Nie wiedziałem, że są zamknięte na klucz.

Pomieszczenie było małe. Biuro? Wyglądało jak pakamera. Przy biurku ramię w ramię siedziało dwóch mężczyzn. Ten normalnych rozmiarów musiał być Lockhartem. A ten drugi, wielki, sflaczały spaślak – wykidajła. Obaj zamarli. Na blacie leżały kupki wygniecionych, zatłuszczonych banknotów.

Chwilę trwało, zanim Lockhart odzyskał głos.

– Kim pan, do diabła, jest?

– Nazywam się Jack Reacher. Jestem agentem zespołu, który dziś u was grał. Przyszedłem porozmawiać o ich kontrakcie.

– Oni nie mają kontraktu.

– Teraz już mają. – Reacher wziął krzesło z giętego drewna, jedyny mebel w pokoju, nie licząc tych przy biurku i samego biurka. Sprawdził jego wytrzymałość i usiadł.

– Proszę wyjść – rzucił Lockhart.

– Dopiero co wszedłem.

– Nie ma pan prawa tu przebywać. Nie podczas liczenia utargu.

– Nie przemyśleliście tego, prawda? W każdym razie nie do końca.

Lockhart zmarszczył brwi, wietrząc pułapkę.

– To znaczy?

– Powiedział pan, że nie mam prawa tu być. Błędne rozumowanie. Bo jednak jestem, co widać i słyhać.

– Może pan wyjść – ostrzegł go Lockhart z teatralną dobitnością. – Albo pana wyrzucę.

– Pan? – Reacher pozwolił sobie na uśmiech.

Lockhart zacisnął pięści.

– Mogę kazać pana wyrzucić.

– Na pewno? A gdzie są pańscy ludzie?

– Ci od wyrzucania? – Lockhart wskazał swojego towarzysza. – Tutaj. Więcej ich nie potrzebuję.

– On? Po pierwsze, on jest tylko jeden. Sam jak palec. Dlatego powinien był pan powiedzieć: „Ten od wyrzucania”. Ale to i tak nie załatwia sprawy, prawda? Bo wyraźnie widać, że gość nie nadaje się do tej roboty. Nie wyrzuciliby mnie, choćbym spał. A nawet gdybym umarł ze starości.

Mówiąc, Reacher obserwował oczy wykidajły. Zauważył, że spaślak zerka na swojego szefa. I że ten leciutko, leciuteńko kiwa głową. Wielkolud wstał. Reacher wiedział, że tylko jeden scenariusz może zapewnić mu wygraną. Facet powinien się na niego rzucić. Od razu, przez biurko. Jeśli zrobiłby to szybko, Reacher nie zdążyłby wstać. Ale nawet gdyby zdążył, spaślak wciąż mógłby wykorzystać swoją najpotężniejszą broń. Wagę. Bo ważył co najmniej czterdzieści pięć kilogramów więcej od niego. Co w połączeniu z prędkością rozpędzonego ciała przełożyłoby się na kolosalny impet. Reacher nie dałby rady stawić mu czoła. Runąłby na podłogę. Przygnieciony przez spaślaka, utknąłby w kącie, nie mogąc użyć pięści, nóg ani łokci. Nie mogąc oddychać. A wtedy tamten musiałby tylko zaczekać.

Resztę zrobiłaby za niego fizyka. Po prostu trochę by poleżał, spokojnie czekając, aż Reacher straci przytomność. Łatwiejszego zwycięstwa spaślak nigdy pewnie nie miał.

Ale dokonał złego wyboru. Zamiast rzucić się przez biurko, spróbował je obejść. Powoli, bokiem. Poważny błąd jak na kogoś o takiej budowie ciała. Najwyraźniej zaćmiły go prowokujące słowa Reachera. I zamiast skupić się na wygranej, wyobrażał sobie, jaki spuści mu łomot. Dzięki czemu Reacher zdążył chwycić metalową podkładkę z biurka. Mocno oprzeć jej krawędź o wnętrze obu dłoni. I niczym ostrzem gilotyny, tyle że posuwającym się do góry, uderzyć nią w szyję spaślaka, zadać cios, który zmiażdżył mu krtań i tchawicę. Potem złapał go za twarz, pchnął i wykidajło, dławiąc się i krztusząc, wylądował tam, skąd przyszedł.

– W normalnych okolicznościach nigdy bym tego nie zrobił. – Reacher usiadł. – Przynajmniej nie od razu. Najpierw dałbym mu szansę, pozwoliłbym mu spokojnie odejść. Ale przypomniało mi się, że to on zabrał gitarę temu chłopakowi, dlatego uznałem, że nic z tego.

Lockhart wyjął telefon.

– Trzeba zadzwonić na policję. Szybko!

– Tłusćochowi nic nie będzie – zapewnił go Reacher. – A może będzie, nie wiem. Ale skoro ma na razie problemy z oddychaniem, proponuję wrócić do sprawy kontraktu kapeli, która tu dzisiaj grała. Ile obiecał im pan zapłacić?

– Nic im nie obiecywałem.

Reacher przeciągnął palcami po krawędzi podkładki.

– Chyba jednak tak.

Właściciel baru skoczył w bok, chciał otworzyć szufladę.

Śledząc jego ruchy, Reacher wziął poprawkę i cisnął podkładką jak metalowym frisbee. Trafiła w nasadę nosa, zmiażdżyła kość i rzuciła Lockharta z powrotem na krzesło.

– Okazuje się, że to bardzo niebezpieczna zabawka.  
– Reacher podniósł podkładkę z biurka i opuszczył ją na podłogę. – Nie powinien pan się nią bawić. Ale do rzeczy. Kontrakt. Ile im pan obiecał?

– Dwieście dolarów.

– Tak, początkowo. Ale potem zainteresowaliście się ludzkimi palcami. Proszę mi powiedzieć, ile palców ma lewa ręka gitarzysty?

– Pięć. – Lockhart mówił przytłumionym głosem, ponieważ podkładka znacząco zawężyła jego drogi oddechowe.

– W zasadzie cztery. Piąty to kciuk. Ale przyjmuję pańską odpowiedź. Zatem dwieście dolarów pomnożone przez pięć równa się...

– Tysiąc.

– Bardzo dobrze. To wysokość naszego nowego honorarium. Gotówka jest mile widziana.

– Ani mi się śni.

– Widzę tu mnóstwo pieniędzy. Jeśli tak trudno je policzyć, może wezmę wszystko?

– Dobrze. – Lockhart niemal zapiszczał. Wziął dwie kupki banknotów i przesunął je na brzeg biurka.

– Świetnie – rzucił Reacher. – A teraz dodajmy do tego karę za spóźnienie. Pięćset dolarów.

Lockhart łypnął na niego spode łba i do dwóch tamtych dołożył kolejną kupkę.

– Już prawie skończyliśmy. Brakuje tylko

odszkodowania za zniszczony sprzęt. Okrągłego tysiąca.

– Za jaki...

– Za gitarę. Pański kumpel zrzucił ją ze schodów. Jeśli pan chce, może pan potrącić tę kwotę z jego poborów, ale mój klient na pewno jej nie wyłoży.

Właściciel baru zerknął na szybko kurczący się zapas gotówki. Reacher niemal widział, jak pracuje jego mózg, jak rachuje, ile zostało mu pieniędzy, jak kalkuluje, czy opłaca mu się pójść na ugodę.

– Dobrze, jeszcze tysiąc. Ale ani centa więcej. I powiedz tym gówniarzom, że jeśli tu wrócą, połamię im nie tylko palce. A nawet jeśli nie przyjdą do mnie, już nigdy nie zagrają w tym mieście.

Reacher pokręcił głową.

– Tak dobrze nam szło i musiał pan wszystko zepsuć. Nie pozwolił mi pan dokończyć. Owszem, załatwiliśmy sprawę honorarium. Ale nie poruszyliśmy kwestii motywacji. To niezmiernie istotne, dlatego proszę uważnie słuchać. Numer mojego telefonu widnieje na głównym ekranie komórki każdego członka reprezentowanego przeze mnie zespołu. Jeśli któremuś coś się stanie, natychmiast tu wrócę. A wtedy połamię panu ręce. Połamię nogi. I powieszę pana bieliznę między stanikami nad barem. Z panem w środku. Czy to jasne?

Lockhart kiwnął głową.

– Znakomicie. Motywacja numer dwa: inne zespoły. Chociaż ich nie reprezentuję, rozpinam parasol ochronny i nad nimi. Grzecznościowo. Niech pan potraktuje to jako mój wkład w rozwój sztuki. Dlatego jeśli usłyszę, że okantował pan jakąś kapelę, zabiorę panu wszystkie

pieniądze. I powieszę pana nad barem, tak jak w poprzednim przypadku. Czy wyrażam się jasno?

Lockhart kiwnął głową.

– Doskonale. Aha, gdyby się pan zastanawiał, uprzedzam, że będę przeprowadzał wyrywkowe kontrole. Kiedy gra tu następny zespół?

– Jutro.

– Mam nadzieję, że będzie tak dobry jak ten dzisiejszy. Ale nawet jeśli okaże się kiepski, niech pan pamięta. Trzeba im zapłacić.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).